

## Rozdział 1

### Najnormalniejsza rodzina

Bohaterem tej historii jest Barnaby Brocket, ale by zrozumieć Barnaby'ego, trzeba najpierw zrozumieć jego rodziców — dwoje ludzi, którzy tak bardzo bali się każdego, kto był inny, że uczynili rzecz straszną, a konsekwencje ich czynu uderzyły we wszystkich, których kochali.

Zacznijmy więc opowieść od ojca Barnaby'ego, Alistaira, który uważał się za najnormalniejszą osobę na świecie. Mieszkał w normalnym domu, który znajdował się w normalnej dzielnicy, i przez całe życie robił normalne rzeczy w normalny sposób. Miał normalną żonę i dwoje normalnych dzieci.

Alistair nie mógł nawet patrzeć na nietypowych, zwracających na siebie uwagę ludzi. Gdy jechał metrem w towarzystwie nastolatków, którzy niczym się nie kępiąc, prowadzili głośne

rozmowy, siedział jak na szpilkach, po czym na następnej stacji wybiegał z wagonu i wskakiwał do innego, czasami tuż przed zamknięciem drzwi. Gdy jadł obiad w restauracji — nie żadnej dziwnej i modnej z wymyślnym menu i nieznanymi daniami, tylko zupełnie normalnej — uważał, że zepsuto mu wieczór, gdy kelnerzy śpiewali komuś z gości *Sto lat*. Jak można tak wszystkim przeszkadzać?

Pracował jako notariusz w firmie Kłopot & Szkoda w najwspanialszym mieście na świecie — Sydney w Australii — i zajmował się sporządzaniem testamentów. To ponure zajęcie było wprost dla niego stworzone. W sporządzaniu testamentu nie ma, jak by nie patrzeć, nic nienormalnego. Ostatnia wola nie jest niczym niezwykłym. Klienci, którzy przychodzili do niego do biura, byli czasami trochę zestresowani, ponieważ przygotowanie testamentu bywa trudne, a także przygnębiające.

— Proszę się nie denerwować — uspokajał Alistair. — Śmierć jest czymś normalnym. Wszyscy kiedyś umrzemy. Proszę sobie wyobrazić, jak by to było okropnie, gdybyśmy mieli żyć wiecznie! Planeta rozpadłaby się pod tym ciężarem!

Co nie oznacza, że Alistair troszczył się jakoś nadmiernie o dobro planety — nie, skąd. Tylko hipisi i inni nawiedzeni martwią się takimi sprawami.

Niektórzy ludzie — zwłaszcza gdzieś na Dalekim Wschodzie — wierzą, że każdy z nas (ty też) ma swoją drugą połówkę, z którą rozdzielono go przed narodzinami w tym ogromnym i skomplikowanym wszechświecie, i że przez całe życie szukamy tej brakującej części naszej duszy, żeby znowu poczuć się całością. Zanim nadejdzie ten dzień, wszyscy czujemy się trochę nieswojo. Czasami osiągamy pełnię szczęścia, spotykając kogoś, kto na pierwszy rzut oka wydaje się naszym przeciwieństwem. Mężczyzna zatopiony w sztuce i poezji może, na przykład, zakochać się pewnego dnia w kobiecie umorusanej po łokcie smarem silników samochodowych. Wysportowana amatorka zdrowego żywienia, lubiąca spędzać czas na świeżym powietrzu, może zadurzyć się w mężczyźnie, dla którego nie ma nic przyjemniejszego niż siedzenie w wygodnym fotelu przed telewizorem (z włączonym kanałem sportowym), z puszką piwa w jednej i kanapką w drugiej ręce. Ludzie są różni, wiadomo. Ale Alistair Brocket z góry wiedział, że nie mógłby dzielić życia z kimś, kto nie byłby równie normalny jak on, chociaż taki rodzaj związku sam w sobie byłby czymś zupełnie normalnym.

W tym miejscu na scenę wkracza matka Barnaby'ego, Eleanor.

Eleanor Bullingham dorastała w Beacon Hill, w małym domu z widokiem na północne plaże Sydney. Była oczkiem w głowie

rodziców, ponieważ bezdyskusyjnie należała do najgrzeczniejszych dziewczynek w okolicy. Nigdy nie przeszła przez ulicę, dopóki nie zapaliło się zielone światło, mimo że nie nadjeżdżał żaden samochód. W autobusie ustępowała miejsca starszym, nawet gdy było mnóstwo innych wolnych miejsc do siedzenia. Mało tego, była tak dobrze wychowaną dziewczynką, że gdy zmarła jej babcia, Elspeth, zostawiając kolekcję koronkowych chusteczek — każdą z pięknie wyhaftowanymi inicjałami „EB” — postanowiła poślubić mężczyznę o nazwisku zaczynającym się na B, żeby nie zmarnować spadku.

Została notariuszką, jak Alistair, z tą różnicą, że specjalizowała się w prawie własności, które, jak mówiła — gdy ją zapytano — uważała po prostu za fascynujące.

Zatrudniła się w firmie Kłopot & Szkoda prawie rok po tym, jak zaczął tam pracować jej przyszły mąż, i początkowo lekko rozczarowało ją to, co zastała w biurze. Tak wiele zatrudnionych tu młodych mężczyzn i kobiet zachowywało się co najmniej nieprofesjonalnie.

Rzadko kto miał porządek na biurku. Za to wszędzie walały się zdjęcia rodzinne, zdjęcia ulubionych zwierzątek, a nawet, co gorsze, aktorów czy piosenkarzy. Rozmawiając głośno przez telefon, mężczyźni darli na strzępy papierowe kubki po kawie, robiąc paskudny bałagan, który ktoś potem będzie musiał

uprzątnąć; kobiety wydawały się przez cały dzień nie robić nic poza podjadaniem przekąsek z wózka załadowanego słodyczkami w jaskrawych opakowaniach, który przejeżdżał korytarzem co kilka godzin. No tak, to było normalne zachowanie według dzisiejszych standardów normalności, ale to nie było normalne normalnie.

Na początku drugiego tygodnia pracy w nowej firmie Eleanor musiała pójść dwa piętra wyżej, do innego działu, gdzie miała dostarczyć koledze niezwykle ważny dokument, potrzebny natychmiast, bo jak nie, to świat niechybnie się zawali. Uchylając drzwi, starała się nie rozglądać za dużo, na wypadek gdyby panujący tam brud i bałagan miały sprawić, że zwymiotuje śniadanie. Ale ku swojemu zaskoczeniu ujrzała tam coś — a raczej kogoś — kto sprawił, że jej serce gwałtownie zabiło, jak u malutkiej gazeli w czasie pierwszego, triumfalnego skoku przez strumyk.

W rogu pokoju, przy biurku z porządnie poukładanymi stosikami dokumentów, każdy z osobną naklejką w innym kolorze, siedział elegancki młody mężczyzna z równo zaznaczonym przedziałkiem, ubrany w pasiasty garnitur. W przeciwieństwie do pracujących z nim dzikusów miał czyste biurko, pióra i ołówki stały w przeznaczonym do tego celu pojemniku, a papiery, nad którymi pracował, leżały w należyтым porządku. Nigdzie nie było fotografii dziecka, psa ani żadnej gwiazdy filmowej.

— Ten młody człowiek — zapytała dziewczynę siedzącą przy najbliższym biurku i jedzącą bananową muffinkę, z której sypały się kaskady okruszków, by na zawsze zniknąć pomiędzy przyciskami klawiatury. — Tamten w rogu. Jak on się nazywa?

— Pytasz o Alistaira? — odpowiedziała dziewczyna, wylizując opakowanie, na wypadek gdyby została tam jeszcze odrobina lepkiego toffi. — Najnudniejszego gościa we wszechświecie?

— Jak on ma na nazwisko? — spytała niezrażona Eleanor.

— Brocket. Beznadzieja, co?

— Idealnie — odpowiedziała Eleanor.

I wzięli ślub. To było zupełnie normalne, zwłaszcza po tym jak wyszli razem do teatru (trzy razy), na lody (dwa razy) i potańczyć (raz; nie za bardzo im się to podobało, za dużo tego kołysania biodrami i wstrętnej rockowej muzyki) i jak spędzili cały dzień w wesołym miasteczku, gdzie robili sobie zdjęcia i prowadzili ciekawe rozmowy, aż zapadł zmierzch, a światła odbijające się od wielkiej głowy clowna sprawiły, że wyglądał jeszcze bardziej przerażająco niż zwykle.

Dokładnie rok od tego szczęśliwego dnia Alistair i Eleanor, mieszkający już w normalnym domu w Kirribilli na przedmieściach Sydney, po raz pierwszy zostali rodzicami. Henry przyszedł na świat w poniedziałek rano, punktualnie o dziewiątej, ważył dokładnie trzy i pół kilo i urodził się po błyskawicznej ak-

cji porodowej, uśmiechając się uprzejmie do przyjmującego go lekarza. Eleanor nie histeryzowała ani tym bardziej nie wrzeszczała podczas porodu jak te prymitywne matki, których groteskowe zachowanie można zobaczyć w sitcomach, zanieczyszczających co wieczór kanały telewizyjne; wręcz przeciwnie — poród Eleanor był wyjątkowo kulturalny, elegancki i stateczny — i nie było w nim nic nieprzyjemnego.

Po swoich rodzicach mały Henry odziedziczył dobre maniere, wypijał mleko grzecznie, bez żadnego kapryśnienia i rumienił się ze wstydu, ilekroć zabrudził pieluszkę. Rósł w normalnym tempie, w wieku dwóch lat zaczął mówić, a rok później rozróżniać literki alfabetu. Kiedy miał cztery latka, pani przedszkolanka mogła powiedzieć Alistairowi i Eleanor tylko tyle, że nie może powiedzieć o nim nic złego ani nic dobrego, że jest zupełnie normalny pod każdym względem, więc w drodze powrotnej rodzice kupili mu w nagrodę loda. Waniliowego, oczywiście.

Ich drugie dziecko, Melanie, przyszło na świat we wtorek trzy lata później. Tak jak jej brat, Melanie nie sprawiała problemów nianiom ani przedszkolankom i do swoich czwartych urodzin, czyli do momentu gdy Brocketom miało urodzić się trzecie dziecko, spędzała większość czasu nad książką lub na zabawach lalkami w swoim pokoju, nie robiąc nigdy nic, co mogłoby

wyróżniać ją w jakikolwiek sposób spośród innych dzieci mieszkających przy tej samej ulicy.

Nie było żadnych wątpliwości co do tego, że rodzina Brockettów była prawdopodobnie najnormalniejszą rodziną w New South West, jeśli nie w całej Australii.

I wtedy przyszło na świat ich trzecie dziecko.

Barnaby Brocket wychynął na ten świat w piątek o północy, co już samo w sobie było fatalnym wyczuciem czasu, ponieważ Eleanor czuła się winna, że przez nią lekarz i pielęgniarka muszą być o takiej porze na nogach.

— Naprawdę bardzo mi przykro — tłumaczyła się, cała złana potem (kolejna rzecz, której się wstydziła). Wcześniej nie pocila się tak podczas porodów, ani przy Henrym, ani przy Melanie — wtedy po prostu delikatnie lśniła, jak dogasająca czterdziestowatowa żarówka.

— Nie ma się czym przejmować, pani Brocket — uspokoił ją doktor Snow. — Dzieci się rodzą, kiedy chcą, nie mamy na to wpływu.

— Ale to bardzo nieuprzejme z ich strony — zdążyła jeszcze odpowiedzieć Eleanor, zanim Barnaby postanowił, że jego moment nadszedł, a Eleanor wydała dziki wrzask.

— Och, przepraszam — wyjąkała, zaczerwieniona po korzonki włosów.

— Naprawdę nie ma za co, wszystko jest w zupełnym porządku — upierał się doktor, przyjmując pozycję zawodnika rugby na boisku, gotowego złapać jednak nie piłkę, ale śliskiego bobasa: jedna stopa zaparta z tyłu, druga mocno oparta z przodu, rozcapierzone dłonie, w które za chwilę ma wpaść cenna nagroda.

Eleanor znowu krzyknęła, a potem opadła na łóżko, zaskoczona i zdyszana. W całym ciele czuła ogromny, narastający nacisk i nie była pewna, jak długo to jeszcze wytrzyma.

— Niech pani prze, pani Brocket! — ponaglał ją doktor Snow, a Eleanor wrzasnęła po raz trzeci, starając się przez z całych sił, podczas gdy pielęgniarka położyła jej na czoło chłodny kompres. Ale zamiast poczuć się lepiej, Eleanor zaczęła głośno jęczeć, a potem wymówiła na głos pewne słowo, którego jeszcze nigdy w życiu nie użyła, i zawsze ją raziło, gdy ktoś w pracy wymawiał je na głos. To było krótkie i brzydkie słowo. Ale wyrażało dokładnie wszystko, co czuła w tym momencie.

— Brawo! — zawołał wesóło doktor Snow. — Już prawie jest! Raz, dwa, trzy i ostatnie mocne pchnięcie, gotowa? Raz...

Eleanor wzięła głęboki oddech.

— Dwa...

Wypuściła powietrze z płuc.

— Trzy!